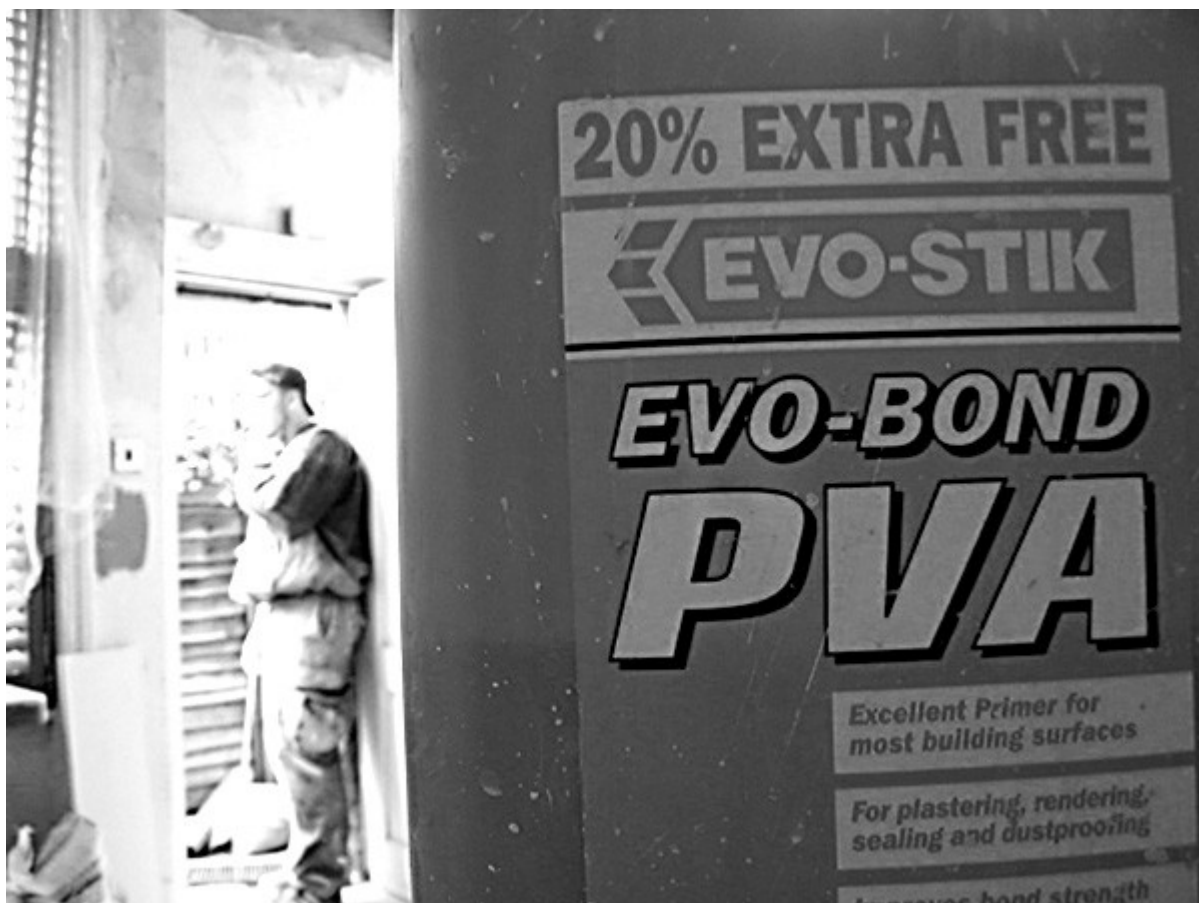


# /EASY MARTIN

## CZYLI MOJA PIERWSZA PRACA W LONDYNIE

TEKST I FOTOGRAFIE: MARCIN PINIAK



Czuję się jakbym się przeglądał w lustrze. Z drzwi obok wychodzi młodzieniec, który wygląda bez mała identycznie jak ja. Na ubraniu plamy z wapna, czapka odwrócona daszkiem do tyłu i zdziwiony wyraz twarzy. Patrzymy na siebie chwilę w milczeniu i rozchodzimy się - każdy do swojego remontu. Jestem pomocnikiem plastrarza. Mój szef ma na imię Thomas - pracuję dla niego pięć dni. Właśnie zarabiam swoje pierwsze pieniądze w Londynie.

### **Tom idzie do sklepu**

Na początku ktoś mówi komuś, że jest ktoś chętny. Później dzwoni telefon. Odbieram i Tom mówi do mnie kiedy i gdzie. Stawka pięćdziesiąt funtów za dzień. Umawiamy się przed wejściem do stacji metra Ealing Broadway. Podjeżdża srebrny ford i z wnętrza wynurza się rudy Anglik.

- Martin?
- Yes.
- Ok.

Z pewnością nie należę do krasomówców w języku angielskim, zatem posługuję się zdaniami prostymi. Tom nie jest zbyt rozgadany. Jedziemy praca czeka. Wszystko we wnętrzu auta jest upaprane wapnem, pod nogami mam ciuchy, niedopałki i puste butelki. Taki styl. Tom wydaje się cały rozedrgany, jego ruchy są gwałtowne a sytuacja na drodze powoduje częste wybuchy irytacji. Parkujemy pod podjazdem piętrowego domu.

Witają nas dwa bernardyny i Ian. Ian jest właścicielem i pod nieobecność żony robi remont domu. Prace już trwają. Tom stacjonuje tu już jakiś czas. Sufity zrobione, zostało kilka ścian. Podstawowy problem to przyswojenie fachowych określeń, którymi mój nowy szef bombarduje moje uszy. Tom jednak jest wyrozumiały, mówi wolno, powtarzając wyraz kiedy trzeba.

Staram się jak mogę, przecież mi zależy. Smaruję ściany PVA, rozrabiam gips mieszając dużym wiertłem wraz z wodą. Kiedy próbuję zaszpachlować dziury w ścianie Tom dopada do mnie i mówi: "This is my job!", "Ease Martin!". Tom nie pochwała nadgorliwości, trzeba pomału i spokojnie. Nie można za szybko, bo klient myśli, że partaczysz robotę. Takie są zasady.

Tom pyta, czy potrzebuję czegoś ze sklepu. Raczej nie. Wychodzi. Wraca za dwie godziny. W dziwnym stanie. W piętnaście minut później spada z rusztowania. "Fuck...fuck" Pokazując mi swój fach ochlapuje plackami zaprawy wszystkie te miejsca, które przed momentem czyściłem na kolanach. Czas kończyć. Chce mnie podwieźć autem do metra. Nie dzięki. Zdecydowanie wolę się przejść. Tom mówi: "Ok, see you tomorrow."

Co zrobić - taki styl.

### **Szef dzwoni zawsze dwa razy**

Bezlitosny sygnał budzika rozdziera spokój snu. Szósta. Nie widziałem jeszcze Londynu o tak wczesnej porze. Kawa, kanapka i czas iść. Mijają mnie spieszący się ludzie, dzieci z torniustrami. W autobusie czuć aromat kawy, którą niektórzy spożywają z metalowych termosów. Poznaje wielu z mojej branży w kaskach i zielonych kamizelkach. Metro zatłoczone - poranny szczyt. Niektórzy z pasażerów przecierają zaspane oczy próbując wdrożyć się w aż nazbyt pobudzoną rzeczywistość.

Tom dzwoni, że się spóźni. Luz. Już się zorientowałem, że ma specyficzne podejście do pracy. Jak mówi jest "self", czyli samozatrudnionym, jest robota - są pieniądze, nikt nie płaci za urlop. Najlepiej zarabia na wiosnę. Okres zimowy jest zdecydowanie gorszy. Wita mnie Ian pytając gdzie jest Tom. W takiej sytuacji najlepiej nie zrozumieć pytania. Jeden z bernardynów okazuje się niezwykle towarzyski, najlepiej się czuje, gdy trzyma łeb oparty o moją nogę. Po paru minutach muszę go "zaprosić" do innego pokoju. Jestem "gotowy do boju", przebrany w "branżowe" ciuchy. Czekam na szefa. Tom ma kontynuację wczorajszego stanu, ale bierze się w

garść.

"Obrabiamy" dwie spore ściany. Tom porusza się niczym tancerz. W jednej ręce ma drewnianą tacę z której nabiera na metalową packę zaprawę i rozsmarowuje na ścianie. Kładziemy dwie warstwy. Pierwsza bardziej gęsta, druga "very soft". Na koniec pryskanie wodą i zabiegi kosmetyczne. Pojawia się Ian i jest pod wrażeniem naszej pracy. Ian był żołnierzem, ma staroangielskie maniere, jest pełen spokoju i życzliwości.



Teraz pracuje w domu, przed komputerem. Branża - finanse. Idealnie do tego miejsca pasuje rycerska zbroja, która stoi dumnie na wprost toalety. Tom wychodzi do sklepu. Za godzinę dzwoni, że już nie wróci, musi odebrać syna. Ma dziwną melodykę głosu. Spotkamy się jutro. Mija tydzień pracy, rozkład każdego dnia jest podobny. Ian przestaje zadawać pytania. Zarabiam 250 funtów płatnych w trzech ratach. Najpierw płaci Ian, później obieg prowadzi do mnie z ręki Toma. Wszyscy są zadowoleni.

### **Szybka fucha**

Tom już wszystko wytłumaczył Ianowi, mamy szybką fuchę w okolicach swojego domu. Jedna mała ściana i sufit. Zabiera mnie z pod metra. W aucie już są wszystkie rzeczy. Nie ma czasu. Nowy klient jest nerwowy. Tom potrzebuje szybkiej gotówki. Rzeczywiście facet jest detalista, już po wszystkim uważa, że za szybko skończyliśmy. Trzeba poprawiać. Sprzątanie po pracy też musi być dokładne.

Wokół domu słychać odgłosy wiertarek, jeden wielki remont. Z piętra pobliskiego domu pozdrawiają nas "budowlani ziomkowie". Tom pokazuje palcem na czoło wskazując w stronę zleceniodawcy. Jednak nie ma zmiłuj to on tu rządzi i płaci. W ogrodzie gruby betonowy budda emanuje spokojem. Jest środa, dostaję ratę za ostatnie trzy dni. Stowa. W dwie godziny później zostaje mi sześć dych. Mamy stłuczkę.

Tom wjeżdża gościowi w tył auta. Jak zwykle jest pijany. Musi mu dać w łapę. Szkody niby żadnej, ale w razie wizyty policji będą kłopoty. Poszkodowany w "karambolu" rozumie to doskonale. Tom nie może pertraktować musi dać tyle ile tamten chce. Po wszystkim jest mu przykro, że musiał wziąć ode mnie. Nie ma problemu. Wiem, że odzyskam pieniądze. Tom jest uczciwy. Nie ma łatwego życia.

Ma chore nieuleczalnie dziecko. Musi pracować, zarabiać. Czasem jest mu ciężko, jest uzależniony od alkoholu. Kiedyś nie miał domu. Dużo pił. Rodzina odmienia, nadaje sens. Czasy kiedy podróżował po Australii i Nowej Zelandii wraz z obecną żoną wspomina ze łzą w oku. Wszystko się skomplikowało. Już za kilka dni święta, potrzeba pieniędzy. Mówi, że pracuje tak siedem lat i ta praca uratowała mu życie. To nic wielkiego, ale jemu musi wystarczyć. Czasem jesteś na fali, innym razem musisz czekać na przypływ.

Tak, to już jest.

Dzień przed wigilią widzimy się z Thomasem po raz ostatni.

Do tego czasu skończyliśmy pracę u Iana, a do samochodu odprowadzały nas dwa wesołe bernardyny.